NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 59. DETROIT, MICH., 16-go PAŹDZIERNIKA 1892 ROKU. TOM II.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

16	Paźdź.	N.	Brunona.
17	,,	P.	Florentego.
18	,,	W	Łukasza Ewan.
19	,,	Ś.	Jana i Piotra
20	,,	C.	Przen. ś. Wojciecha
21	,,	P.	Urszuli p. m.
22		S.	Korduli p. m.

Listy i przedpłatę WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:
The Polish Weekly
„NIEDZIELA"
DETROIT, MICH.
POLISH SEMINARY,
Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50

Entered at the Detroit, Mich., Post Office as second class Mail matter.

MATKI! OJCOWIE!

 MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU! 

OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of „NIEDZIELA"
Polish Seminary.
DETROIT, MICH:

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „Niedzielę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich.,	Pan	Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „	„	Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „	„	J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „	„	Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis.,	„	M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich.	„	Ignacy Poplewski.
„ „ „	„	Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill.	„	Piotr Maday.
Elmira, N. Y.	„	M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill.	„	Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio,	„	J. Małkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind.,	„	Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich.,	„	Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md.,	„	I. K. Zanto, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y.,	„	A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „	„	Antoni Chajewski, 310 Lovejoy St.
„ „ „	„	Leonard J. Kujawski 356 Peckham St.
Williamsbridge, N.Y.,	„	Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn.	„	Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich.	„	Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „	„	W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.
Brooklyn N. Y.	„	Fr. Kuliberda 400 Carlton St.
Cleveland, Ohio.	„	F. C. Kopciński 17 Dodge St.
W South Chicago, Ill.,	„	T. Węclewski, Edward Ave.
W Pittsburg S.S. Pa.	„	Fr. Krasha 2913 Alarkoms Alley.
„ „	„	J. Michalski 47 15th St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 59. DETROIT, MICH., 16-go PAŹDZIERNIKA 1892 ROKU. TOM II.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.



,,Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią."

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

Matka Boska pocieszycielka strapionych.

(Ciąg dalszy.)

III.

Groźna to była, bitna i wyćwiczona horda, która w tym świeżym wrześniowym poranku zbliżała się pod mury Ostroga.

Nie sam naczelny wódz najezdników prowadził tą razą wojsko swoje. Han tatarski dziewiędziesięcioletni starzec dogorywał, syty władzy i łupieztwa; ale wiernym swym muzułmanom dał zastępcę największego ulubieńca swego, a barbarzyńcy przysięgli mu cześć i posłuszeństwo.

Nowy ten wódz był jeszcze młodym, ale już bardzo sławnym w hordzie z męztwa i waleczności. Nikt lepiej od niego nie umiał ujeździć dzikiego konia, nikt silniej nie naciągnął potężnego łuku itd. Widząc go jadącego pod chorągwią na pięknym arabskim koniu, z dyamentową kitką u zielonego turbana, z bogatą damascenką u boku, żołnierze z dumą nań poglądali, urągając chrześcianom po drodze, grożąc im śmiercią i zagładą.

Wódz ten, Abdul-Beg, rozłożył się obozem nad rzeką Zwyteńką, płynącą u stóp góry, na której wznosił się zamek; zrozumiał on od razu, że tak obronnej twierdzy nie można zdobyć orężem, zarządził więc oblężenie, aby głodem zmusić do poddania się i tegoż wieczora mieszkańcy Ostroga z wysokości murów, ujrzeli miasto i zamek swój opasane mnóstwem śpiczastych namiotów; a później o zmroku zabłysły tu i owdzie jaskrawe ognie, istne żarzyska piekielne, gdzie się roiły krocie strasznych szatanów.

Nazajutrz o świcie, na odgłos bębnów, trzydzieści tysięcy strzał z hukiem uraganu uderzyły na mury Ostroga; cała horda tatarska rzuciła się groźnie wdzierając się na wały, oblegając szańce, gdzie wszczęła się rzeź okropna.

Po trzygodzinnej walce Abdul-Beg cofnął swe wojska, zostawiając pod murami twierdzy dwa do trzech tysięcy trupów, nie chcąc więcej rozlewu krwi, poprzestał na oblężeniu. Aby przeciąć wszystkie komunikacye, postawił straż na brzegach rzeki, w różnych kierunkach pływały po niej tatarskie łodzie i rychło mieszkańcy Ostroga nie mając dostatecznie żywności, widzieli się zagrożeni głodem. Zabrakło chleba, a razem zgasła nadzieja ocalenia — odwaga i męztwo żołnierzy. W tej ostatecznej niedoli książe Konstanty z rozpaczliwą odwagą zarządził wycieczkę i pewnego wieczora, gdy księżyc skrył się za chmury, dwustu walecznych rycerzy z bohaterską odwagą poświęcając życie dla ocalenia braci, wyszło cichutko z zamku, usiłując się przedrzeć do przyległej wioski dla dostania broni i żywności. Alina żegnała ich modlitwą i łzami, stary kapelan zamkowy błogosławił mężnych obrońców, ale to błogosławieństwo miało być ostatnie.... żaden z nich nie wrócił, wszyscy polegli od miecza barbarzyńców, lub rozpierzchli się w polu. Stary koniuszy Grzegorz dowodzący tą gartką walecznych, raniony i wzięty w niewolę, zaprowadzonym był do młodego wodza, żeby on sam miał przyjemność uciąć mu głowę. Ale się zawiedli barbarzyńcy.... Abdul-Beg wzruszony litością na widok szlachetnej postaci sędziwego starca.

—Wiele masz lat? zapyta go uprzejmie.

—Siedmdziesiąt pięć, odpowie waleczny rycerz; ze sto bitew widziałem i brałem w nich udział, dziesięć razy byłem raniony.... śmierci się nie boję, bom dobrze użył życia.

—Nie chcę cię zabijać, starcze, rzecze Abdul-Beg kłaniając się; mógłbym mieć dziadka w twoim wieku i tak walecznego jak ty; niechciałbym, żebyś zginął z ręki młodzieńca. Zostań w mym namiocie, tu będziesz bezpiecznym; opatrzysz mego konia, oczyścisz broń, a gdy weźmiemy wasz zamek i miasto spalimy, pójdziesz ze mną na dwór starego hana.

Tak Grzegorz został tatarskim niewolnikiem, sługą barbarzyńcy, muzułmana ... i nieraz myślał czy nie lepiej śmiercią zakończyć tak nędzne życie.... Ale sumienie chrześciańskie wzdrygało się na to i szlachetny rycerz poddał się woli Bożej; a łącząc krzyż swój z krzyżem Zbawiciela, znalazł ochłodę i spokój serca.

IV.

Pewnego dnia młoda księżniczka wyszedlszy z zamku przebiegała ulice oblężonego miasta. Biedna Alina, znać było, że wiele już wycierpiała! Głowa smutno pochylona, lice wybladłe, rzewna smętność rozlana na twarzy.... bo już wszystko co było w domu: zboże, wino, zwierzyna, owoce, wszystko rozdała zgłodniałym; wszystko.... zostały jej tylko suknie adamaszkowe, perły, brylanty, próżne zbytki marności, które w tej chwili wydały się jej gorzką ironią....

Niestety! gumna jej, szpichlerze, spiża nie rychło się wypróżniły i gdy młoda księżniczka ukazała się wśród ludu, wszędzie widziała wybladłe twarze, łzy i jęki cierpiących.

— Nie mam chleba dla mojego starego ojca — mówił pewien mieszczanin klękając u stóp jej.

—Nie mam mleka dla moich dziatek wołała z boleścią pewna matka.

—Postawiliśmy zapadki na szczury, ale gdzie niema ni chleba ni zboża, tam niema i szczurów; mówiło kilku znędzniałych wieśniaków.

— Panienko daj nam chleba, daj nam miodu...... Czy już nic nie macie w waszych piwnicach?

— Nie mam nic, drogie dziatki, tylko z wami płaczę i modlę się za was. Niech was Bóg wspomoże!

Łzy obficie płynęły z oczu biednej Aliny, gdy mó-

wiła te słowa, a poczciwi wieśniacy widząc ją tak zbolałą z uszanowaniem ręce jej całowali; niektórzy zaś wątpiąc potrząsali głową....

To też pomimo męztwa i rezygnacyi młoda dziewica z rozdartem sercem wróciła do domu.

—Cóż ci to moje dziecię? zawołał stary opiekun widząc ją tak bladą i smutną.

—Drogi stryjaszku, rzecze Alina biorąc go z czułością za rękę, tylko w Bogu nadzieja nasza.... Widzisz, że się dłużej bronić nie możemy, oręż wypada z rąk zgłodniałych żołnierzy; jeżeli nas Bóg nie wspomoże, wszyscy zginiemy.... Wołajmy więc do Boga o ratunek i gotujmy się na śmierć. Jutro wszyscy przyjmiemy komunię św. Niech na wałach miasta wzniosą ołtarze gdzie nasi zakonnicy Msze św. będą odprawiać, błagając przez Krew Chrystusową o miłosierdzie nad nami. Pójdziemy także za procesyą śpiewając ,,Salve Regina''; była to, jakiem słyszała, ulubiona modlitwa mojej matki. Królowa Niebiańska zlituje się i obroni nas.... A jeżeli Tatarzy przeszyją nas strzałami, to umrzemy śmiercią świętych u stóp Krzyża Zbawiciela i słodko spoczniemy w Niebie.

—Bądź błogosławiona, drogie dziecię, rzecze starzec zalany łzami! Bóg ci podał tę świętą myśl. Tak, prośmy o przyczynę Maryi, Ona wstawi się za nami do swego Syna; a gdyby dzień jutrzejszy miał być ostatnim naszego życia, poświęćmy go na chwałę Bożą.

I książe Konstanty wysłał gońca do kościołów i klasztorów miasta Ostroga zawiadamiając wszystkich o tem, co postanowiono.

Nazajutrz, gdy złote blaski wschodzącego słońca opromieniły jasne poranne niebo, dzwony wszystkich kościołów harmonijnym dźwiękiem zabrzmiały w powietrzu głosząc wielki i święty dzień.... Mieszkańcy Ostroga jednym duchem ożywieni, ołtarze Pańskie zdobią drzewami, kwiatami, wieńcami z zieleni. Na wieży zamkowej umieszczono obraz Boga-Rodzicy przystrojony w różne godła, napisy, jaśniejący kolorowymi lampami.

Całe miasto ubarwiono w kwiaty, wieńce, flagi; tłumy wiernych cisną się do stóp kapłanów, aby obmyci, krwią Baranka, godnie przyjęli Ciało Chrystusowe. Od świtu do południa, tak przed obrazem Maryi jak i nad wałami odprawują się Msze św. i rozdają komunię ludowi; a muzyka zamkowa wygrywa hymny i pieśni na cześć Boskiej Dziewicy.

Tatarzy zdumieni wybiegają z namiotów pytając co to znaczy? czy to wycieczka, czy hasło do boju?.... ale wnet postrzegli, jakiego oręża chrześcijanie Ostrogscy na nich używają.

Oto wychodzi procesya.

(Dokończenie nastąpi.)



NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

O Rusi i Rusinach.

(Ciąg dalszy.)

Dom Jagielloński wygasł, na tronie polskim zasiadł Stefan Batory, i między wieloma mądremi i wielkiemi dziełami zajął się także i sprawami Rusi.

Powiedzieliśmy już, że poniżej Kijowa, po obu brzegach Dniepru, w pustych stepach osiadali ludzie, których nazywano ,,Kozakami''. Byli między nimi i Polacy (szlachta jak włościanie), i Wołosi, i Węgrzy, czasem nawet i Tatarzy, ale najwięcej Rusinów. Dużo zaś było takich, co nie mieli z czego żyć, lub zmarnowali to co mieli, i nie wiedzieli co z sobą począć. Liczba ich pomnożyła się znacznie w ciągu stu lat. Byli to ludzie do boju odważni, do napaści skłonni, hardzi, zuchwali, chciwi łupu, a przywykli żyć w nieograniczonej swobodzie, bez żadnej nad sobą zwierzchności. Żyli z polowania, rybołostwa i wypraw wojennych: uprawą roli prawie się nie trudnili. Taki lud zbrojny a zuchwały, mógł się stać bardzo niebezpiecznym, bo i sąsiednie województwa polskie mógł napadać, i częstemi wyprawami na brzegi Czarnego Morza, na tureckie miasta, mógł zawsze dać Turkom powód do wojny z Polską. Król Batory niebezpieczeństwo to widział, a razem miarkował, jak ten lud wojenny, a na pograniczu osiadły, mógł doskonale zasłaniać Polskę i Chrześcijaństwo całe od Tatarów: byle go tylko w ścisłej wojskowej karności utrzymać. Ta część Kozaków, która mieszkała na prawym brzegu Dniepru, była zawsze spokojniejsza; dała się podzielić na pułki, i służyła za taką graniczną wojskową załogę. Ale Kozacy za Dnieprem żyli po żołniersku, w wielkim obozie, który nazywali S i c z ą. Żon nie mieli, a nad sobą nie uznawali nikogo, prócz Hetmana, którego sobie sami wybierali. Ci i za Batorego w porządne karby ująć się nie dali: ale przynajmniej jak długo on żył słuchali go, nie zaczepiali nikogo, a mogli się bardzo przydać w wojnie przeciw Turkom, którą król z Papieżem Syxtusem Piątym potajemnie przygotowywał.

Po śmierci Batorego zaczęły się te sprawy psuć.

Im więcej przybywało ludności na Ukrainie, tem była większa potrzeba uprawy roli, żeby tę ludność wyżywić. Z tego wynikło, że miejscowy lud aż dotąd do powinności poddańczych nie nawykły, musiał je odrabiać, jak w całym kraju, i jak w owych czasach na całym świecie. Co zaś było gorsze, to że tam na Ukrainie leżały ogromne majątki wielkich panów, którzy sami zamieszkali daleko, ziemie te oddawali w zarząd zawiadowcom lub dzierżawcom, a ci nie pilnowani jak należało, zdzierali ludzi, krzywdzili i uciskali ich często na różne sposoby. Do dziś dnia lud tamtejszy

z gorzkim żalem wspomina takiego dzierżawcę żyda, który trzymał u siebie klucze od cerkwi, a za otworzenie jej na nabożeństwo kazał sobie płacić.

Takie były powody żalu i gniewu Rusinów. Ale miała i Polska swoje znowu powody żalu do Kozaków. Zaczepiali oni ustawicznie to Tatarów, to Turków: a że byli poddanymi Rzeczypospolitej, więc za te zaczepki mścili się na niej Bisurmanie. W ciągu pięciu lat miała też Polska pięć napadów tatarskich, spowodowanych kozackimi zaczepkami. Postanowiła tedy trzymać ich w lepszem posłuszeństwie. Kozaków osiadłych, (na prawym brzegu Dniepru) oddała pod rozkazy Hetmana koronnego (naczelnego wodza wszystkich wojsk), a tych drugich Zadnieprskich zaczęła ujmować w wojskowy porządek, spisywać i dzielić na pułki. To się Kozakom nie podobało. Dwa razy podnosili oni bunt. Ten był zaraz stłumiony: ale żal i niechęć zostały i odezwały się później.

W tym samym czasie dokonala się rzecz wielka i doskonała, która mogła mieć skutki błogosławione i trwalsze niżeli miała, gdybyśmy tylko byli ją pielęgnowali gorliwiej: Unia kościelna.

Katolicka i wierna Polska miała połowę swoich poddanych w obcej, fałszywej, greckiej wierze. Gwałtem ich do swojej nawracać nie myślała, bo to się nie godzi: to nie chwała lecz obraza boska, a nad ludźmi okrucieństwo. Ale miała Polska święty obowiązek dbać o zbawienie tych swoich poddanych, i łagodnymi sposobami starać się o to, żeby oni do prawdziwej wiary wrócili. Kiedy więc uporała się już z luterstwem, tak że ono nie tylko nie szerzyło się dalej, ale owszem w oczach malało i do jedności z Kościołem wracało, zaczęła Polska myśleć o nawróceniu schyzmatyckich Rusinów. Już Stefan Batory szukał sposobu, jakby to zrobić bez przymusu, uczciwie, a pewnie. Za jego następcy Zygmunta III znalazł się ten sposób. Pracowali nad tem gorliwie katolicy polscy, pracował zakon Jezuitów (a zwłaszcza wielki kaznodzieja ksiądz Skarga), i pracował Papież w Rzymie. Ten miał nadzieję, że nawrócenie Rusinów będzie początkiem nawrócenia wszystkich schyzmatyków, (moskiewskich, greckich i Słowian południowych, Bułgarów i Serbów). Wiedział zaś, że byle wiara była jedna i ta sama, to Kościół pozwala na rozmaity zewnętrzny kształt nabożeństw, czyli obrządek. Za czasów kiedy Kościół był jeszcze jeden i nierozerwany, Grecy odprawiali Mszę św. w swoim języku i w porządku innym, jak nasz łaciński: Słowianie (ruscy czy południowi) także. Wiedział zaś Papież, Klemens VIII, i wiedzieli Polacy, że te wszystkie narody bardzo są przywiązane do swoich obrzędów; i myśleli, że gdyby im się zostawiło ten obrządek, a nawet dla księży wolność żenienia się*), to w takim razie może oni wiarę katolicką przyjmą i Papieża za Głowę Kościoła uznają. Zaczęto więc naradzać się z biskupami ruskimi, czyby oni z ludem swoim pod tymi warunkami do jedności Kościoła nie wrócili. Było ich kilku bardzo tej sprawie przychylnych i w niej gorliwych, mianowicie: Biskup Włodzimierski Hipacy Pociej, Biskup Łucki Cyryll Terlecki, a nadewszystko Metropolita (arcybiskup) kijowski Weliamin Rutski, i arcybiskup połocki Jozafat Kuncewicz (później męczennik i święty). Odbył się tedy synod tych wszystkich biskupów w Brześciu Litewskim w roku 1595, i na tym synodzie oni Unię kościelną przyjęli i zaprzysięgli, i do Papieża posłów z oświadczeniem posłuszeństwa wyprawili. Wszelako wielu świeckich, i dwóch biskupów z dyecezyami swemi (lwowski Bałłaban i przemyski Kopystyński) nie przystali na Unię, i w schyzmie greckiej jeszcze na lat sto dwadzieścia zostali. Ci z Rusinów, którzy do Unii nie przystali, a było ich dużo, powzięli za nią głęboką nienawiść do Polski, do katolickiego Kościoła i duchowieństwa, a zwłaszcza Jezuitów. I w tym był powód drugi ich późniejszych buntów. Czy ich Polska w tej sprawie krzywdziła, gwałtem do swojej wiary zmuszała, jak niektórzy z nich dziś mówią i piszą? Broń Boże! Przymusu, gwałtu, prześladowania, nie było żadnego. Nikogo o wiarę nie pozywano, nie sądzono; nikogo za nią nie zamykano w więzieniu, a tem bardziej nie skazywano na śmierć, co się w innych krajach w owym czasie zdarzało. Grzechu prześladowania i gwałtu Polska nie ma na sumieniu: ale ma inną ciężką winę—zaniedbanie. Zrobiła ona rzecz wielką, która i Kościołowi i jej mogła wyjść na największą chlubę i korzyść: ale zrobiwszy ją, powinna była starać się o to, żeby ta Unia pociągała do siebie i przywiązywała ludzi nietylko za przekonanie i za serce, ale nawet za pożytek. Należało duchownym a zwłaszcza biskupom unickim, nadać taką powagę i znaczenie, jak mieli łacińscy. Należało przedewszystkiem przyznać im miejsca w polskim senacie, co oni sobie zastrzegli, i co im było przyrzeczone. To się nie stało. Szlachta ruska była już w wielkiej części przeszła na wiarę katolicką z obrządkiem łacińskim: o dostojność więc i znaczenie obrządku greckiego nie troszczyła się; lud prosty, mieszczanie, lub uboższa szlachta unicka nie mogli temu obrządkowi dać czynnej i skutecznej opieki, i stąd poszło, że on został w pewnem poniżeniu i upośledzeniu. Czuł je żywo, a po wiekach odezwało się w nim to uczucie—na naszą szkodę.

Z tego zaś gniewu na Lachów, katolików i Jezuitów, jaki był w Rusinach schyzmatykach, skorzystał zręcznie kto inny: car moskiewski. Od czasu, jak się z pod Tatarów wyzwolili, myśleli ci wielcy książęta, a później carowie o tem tylko, jakby ruskie kraje od Polski oderwać, a do swego państwa zagarnąć. Ale nasi królowie bronili się dobrze i skutecznie. Teraz kiedy carowie zobaczyli w Rusinach schyzmatykach niechęć do Polski o Unię, postanowili za tę niechęć ich uchwycić i pomału do siebie ciągnąć. Pod pozorem tej samej (niby uciśnionej i prześladowanej) wiary, zaczęli użalać się niby nad nieszczęśliwymi, a jątrzyć i rozpalać w nich nienawiść do Polski i do Kościoła. Za ich to sprawą, z ich namowy, rozjuszone pospólstwo zamordowało w Witebsku Arcybiskupa Połockiego Józafata Kuncewicza (1623) i pastwiło się okrutnie nad jego ciałem*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

****

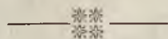
*) Księża ruscy mogą mieć żony, ale muszą je pojąć jeszcze przed przyjęciem święceń kapłańskich. Ksiądz, który owdowiał, już się powtórnie żenić nie może. Biskupem może być tylko bezżenny.

*) Ale ciało to zaraz po śmierci Bóg cudami odznaczył i wskazał jako ciało świętego. Za takiego też czczony, przez Papieża Urbana ósmego uznany błogosławionym, przez Papieża Piusa dziewiątego w roku 1867 był kanonizowany czyli ogłoszony za Świętego. Ciało jego z obawy, żeby go Moskale nie wyrzucili i nie znieważyli, wywiezione było z Połocka i złożone w Białej na Podlasiu. Ztamtąd zabrali Moskale święte relikwie, gdy zaczynali swoje ostatnie prześladowania Unii, a co z niemi zrobili, niewiadomo.

O ZŁOTYCH TŁACH.

W dniu 28-go września 1863 roku.

Z Kuryera Krakowskiego.



W Warszawie, przy ulicy Podwale, istniała mała kawiarenka Józi, przezwana Dziurką. Zbierała się tam młodzież na wyborną, tanią kawę, poczęści także przywabiana twarzyczką bardzo przystojnej samej właścicielki. Jednego dnia gości zgromadziło się więcej jak zwykle. Potworzyły się kółka wesołą prowadzące rozmowę. Przy bufecie siedział b. komisarz Cyrkułu X. Drozdowicz, później starszy agent tajnej policyi i zacięty wróg Polaków.

Drozdowicz w wyśmienitym humorze, palił koperczaki do panny Józefy, gdy nagle z grona osób wysuwa się młodzieniec, blondyn, blady i szczupły i dobywszy sztylet rzuca się na Drozdowicza.

Niestety czy skutkiem drżenia ręki, czy też w nadmiarze gorliwości, obcina tylko koniec zosa Drozdowiczowi. Sławny wróg Polski mimo to nie stracił wcale węchu!

* * *

W dwa miesiące później powstanie już dogorywało. Obiedwie strony walczące wysilały się wzajemnie. Na oddział Landowskiego, dla braku ochotników z pułków wojsk regularnych, musiano wysłać oddział warszawski czerkiesów. Rząd narodowy tajemniczy, ukryty jak zawsze, czynił nadludzkie usiłowania, gromadząc środki materyalne i ludzi. W Warszawie poszukiwała policya naczelnika miasta. Pomimo rzucenia w miasto najsprytniejszych psów legawych, zdobycz wymykała się z rąk. Już nie raz będąc na tropie, zbiry tracili ślad, wściekając się i pieniąc.

Jak niegdyś, tak i obecnie w kawiarence Józi sporo osób piło kawę, dym zaciemniał pokój, młodzież wesoło rozmawiała i śmiała się serdecznie. Wtem otwierają się drzwi, z plastrem na nosie wpada Drozdowicz, za nim czeredą policyi i żandarmów. „Oto jest!" woła, wskazując siedzącego tuż przy bufecie, bladego, niskiego wzrostu młodzieńca. Policya rzuca się ku niemu, wiąże i wynosi prawie na rękach.... Był to ostatni naczelnik narodowy m. Warszawy.

* * *

Ulica Zakroczymska prowadzi ku traktowi do Marymontu, Kaskady, Bielan i Młocin. Ogromna przestrzeń przy drodze, zwana dawniej Zoliborzem, zupełnie pusta, tylko z prawej strony widać mury, wały i paszcze dział skierowanych ku Warszawie—to cytadela Aleksandrowska przezwana Grobem myślących.

Do cytadeli wchodzi się przez most zwodzony Konstantynowski. Nikomu nie wzbraniają wejścia, i rzeczywiście na pierwszym kroku nic nie zdradza tej okropnej wieści, jaka obiega od niepamiętnych czasów w Warszawie: „W Cytadeli torturują, żywcem grzebią!" Widzimy wprawdzie stosy kul armatnich, widzimy leżące na lawetach działa, ale widzimy także cerkiew, zabudowania prywatne a nawet skwer, na którym ze śmiechem i krzykiem bawią się dzieci!

Dopiero kiedy się minie koszary, przedstawi się oczom naszym kwadrat ponurych, poczerniałych budynków, w około którego, jakby na ironią, zasadzono piękny, kwiatowy ogródek — to pawilon X. miejsce katakumb męczeńskich Polski!

Wchód bardzo przyjemny, pośród szpalerów i zielonych, woniejących kląbów. Kiedy jednak zatrzaśnie się furtka, przy której jak cerber stoi dniem i nocą żandarm, dziwny dreszcz przenika twoje członki, zdaje się unosi się w powietrzu zapach krwi!

Po kilku schodkach aresztowany dostaje się do wielkiej sali, której okna potrójną zbrojne kratą, dają przecież oślepiające światło. „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!" Pożegnajcie się tu wchodzący!

Tu też stoisz na progu życia i śmierci. Po za tobą zapadł się żyjący świat, przed tobą murowany grób. Więzień traci tu swoją osobistość, przestaje być człowiekiem, jest Numerem!

Chwytają cię ręce żandarmów i obnażają, kładą na stole, na stole sekcyjnym twojego życia i sumienia, serca i duszy, twoich myśli i ideałów, zamiarów i prac, bytu i nicości!

Aparat fotograficzny uwiecznia tylko twoją ziemską powłokę, bo donośny głos oprawcy, nie uznaje w tobie istoty żyjącej i woła: Numer siódmy! Skończyłeś więc żywot doczesny!

Żandarm prowadzi cię dalej, do kazamaty. Dają ci kubek, łyżkę i szklankę i drzwi przymykają. Zdawało ci się, że uczuciowy wykonawca sprawiedliwości carskiej, tylko przywarł cokolwiek podwoje twojej celi. Uśmiechasz się, bo radbyś rozpatrzeć się w tem nowem twojem pomieszkaniu, idziesz śmiało, chwytasz za ramę drzwi a dziki głos sołdata przez wąziutką szybkę pada na ciebie jak grom z nieba: „Poszoł, zdieś ne lzia stojat! (Won! tu stawać nie wolno.)

Rozwiała się tedy pierwsza iluzya.

Zbliża się noc, wnoszą miskę pełną piasku i kładą na stole trzy łojowe świece a sołdat mówi: „zażgu sam!" (sam zapalę!)

I oto cisza grobowa, nie słychać nawet kroku szyldwacha. Rozdają wreszcie herbatę!

Równocześnie sołdat stawia świecę na podłodze naprost swego łóżka, osadza w piasku świecę i zapala, możesz ledz na spoczynek.

Niedotknąłeś ustami herbaty, pragniesz odpoczynku, snu, snu, po okropnych wrażeniach całego dnia. Światło łojówki pada wprost na ciebie, razi cię, wstajesz i odsuwasz miskę, gdy nagle jakby walił się cały gmach, z hukiem, trzaskiem, piskiem opadają wrzeciądze drzwi i sztaby a sołdat jeden, za nim drugi przesuwają miskę na dawne miejsce, grożąc kułakami i wołając: „Nie troń!" (nie dotykaj się!‡)

Odwracasz się do ściany, ale zasnąć nie podobna, bo ledwie upalił się nieco knot świecy, z tym samym piekielnym hałasem wbiega sołdat uderza o ziemię karabinem i obcina nożycami knot!

Do rana nie zmrużyłeś oka. Dzień błyska przez maluchne u sufitu okienko, otwierają się drzwi. Woła-

‡) Regulamin cytadeli nakazuje, aby więzień był całkowicie widzialny dla żołnierza stojącego poza szybką drzwi kazamaty.



KOLUMB PRZED SĘDZIAMI HISZPAŃSKIMI.



KUCHARZ W KŁOPOCIE.

ją: ,,Do wietru!'' a żandarmi rewidują całą celę i łóżko, wnoszą wodę i kibel.

Podają śniadanie: kawę w imbryczku, chleb i bułkę. Za godzinę najdalej u drzwi twych rozlega się stuk karabinów, a oficer krzyczy: ,,W komisju!'' (Do komisyi!)

* *
*

Nieszczęśliwy W. pomieszczony został w nieopalonej celi z ceglaną posadzką. Nie dano mu żadnego pożywienia. Po bezsennie spędzonej nocy, zaprowadzony podziemnym kurytarzem znalazł się wobec trzech inkwizytorów i pułkownika potem genarała Tuchołki, prezesa komisyi śledczej.

Chciał usiąść, poderwano mu stołek, chciał się oprzeć o ścianę, żandarm kułakiem odepchnął go od muru, założył ręce na piersi, Tuchołka obdzielił go policzkiem mówiąc że: ,,tu ruki po szwam!'' (po wojskowemu).

Rozpoczyna się indagacya, spisanie przedwstępnych generalii i następnie Prezes pyta:

— Jesteś Naczelnikiem miasta?

— Byłem nim, dziś nie jestem, odpowiada śmiało W.

— Mów o co pytają, b o b a t y.

W. zaczyna się śmiać.

— Żandarmy! — woła Tuchołka,—w mordu jewo! (Żandarmi, bijcie go po twarzy.)

Stłuczony do krwi z powybijanymi zębami W. ledwie trzyma się nogach.

— Kto cię zamianował naczalnikiem? — pyta znowu Tuchołka.

— Naród polski—odpowiada W.

— S k a t i n a! —krzyczy sędzia Bielski, nie żartuj sobie, bo cię wnet rózgi nauczą moresu.

— Kto cię mianował?

— Rząd narodowy.

— Gdzież on jest?

— Szukajcie!

Nastaje milczenie. Tuchołka coś pisze na kartce, którą oddaje żandarmom, a ci wyprowadzają aresztanta.

* *
*

O kilkanaście kroków od sali sądowej, w bocznym korytarzu widać żelazne drzwi, drzwi te prowadzą do sali tortur. Ogromna izba bez okien, oświetlona tylko zwieszoną u sufitu lampą, czarna jak otchłań z pobryzganymi krwią ścianami i z pękami prętów kilkołokciowych, ma na środku ławkę z żelazną obręczą i skórzanymi trokami.

Tu wprowadzono więźnia. Przy egzekucyi jest obecnym pułkownik Żuczkowski, przezwany M o r o k i e m. Na jego skinienie żandarmi przywiązują W. do ławki, a inkwizytor Bielski pyta po raz ostatni:

— Powiesz czy nie powiesz?

— Nie!

— Duj jewo!—krzyczy Żuczkowski.

Żandarmi ustawieni po obu stronach wymierzają ciosy prętami. Słychać tylko świst, ale ani jednego wykrzyku, ani jednego jęku.

— Stój!—mówi Żuczkowski.

Żandarmi zatrzymują się.

— Powiesz czy nie powiesz? — pyta znowu inkwizytor.

— Nie! — wypowiada więżeń głosem złamanym.

— Polej wodoju!—komenderuje Żuczkowski.

Żandarmi zlewają wodą W., który orzeźwiony, wydobywa z siebie głosem strasznym następne wyrazy.

— Boże! miej miłosierdzie nad moją duszą.

— A! duszeńka! duszeńka! promowił. (Robaczek, robaczek przemówił) Duj jewo po krepcze!

Rozlega się świst na nowo. Znowu pyta inkwizytor i znowu go polewają wodą. Niestety, nieszczęśliwy zemdlał, biją prawie już trupa.

Egzekucya trwała godzinę. W. odwiązany z ławki nie daje znaku życia. Przywołują lekarza. Lekarz nakazuje przenieść go do szpitala.

* *
*

Ojciec W. był urzędnikiem w rządzie gubernialnym warszawskim. Nie wiedząc co jest z synem, biegał po cyrkułach policyjnych, ale nadaremnie. Nareszcie po dwóch tygodniach uwiadomiono go, że syn w cytadeli.

W cytadeli, więc go utracił, bo z c y t a d e l i n i e w y p u s z c z a j ą s k a t o w a n y c h, t o r t u r o w a n y c h. Jeżeli wyzdrowieje, wywiozą go, a kopalnie Sybiru skryją go na wieki przed wzrokiem nietylko ojcowskim, ale i całego kraju. Jeżeli nie wyzdrywieje, jest miejsce po za cytadelą, nad brzegiem samej Wisły, gdzie zlewają czyściciele miasta nieczystości, tam topili młódź polską po dniu 8 kwietnia, po pamiętnej w Warszawie rzezi, tam też i on grób swój znajdzie.

Ojciec wszakże nie traci nadziei, zgłasza się do Tuchołki, ten go nie przyjmuje, wdziera się podstępem do zamku i padłszy do nóg ówczesnemu namiestnikowi Bergowi, błaga o życie swego syna. Przyzywają Tuchołkę. Biedny ojciec oczekując na decyzyę namiestnika w przedpokoju, posiwiał w kilka godzin.

Przywołują go i namiestnik głosem współczucia mówi:

— Proszę nie rozpaczać. Pozwalam panu z całą rodziną odwiedzić syna w cytadeli!

* *
*

O godzinie 9 rano, jak wskazywało zawiadomienie urzędowe, p. W. z córką zgłasza się do kancelaryi Tuchołki. Żandarm prowadzi ich do X. pawilonu. Dziwna nadzieja ożywia serce rodzicielskie. Korytarz, na którym znajduje się kazamata syna, froterowany, pułkownik Żuczkowski towarzyszący gościom w paradnym uniformie, rozmawia po polsku z tak uprzedzającą grzecznością, na jego twarzy maluje się wyraz jakiejś niewypowiedzianej dobroci, bo nawet uśmiech nie schodzi z jego ust.

— Oto tu!—mówi, pukając do drzwi.

Drzwi otwierają się. Kazamata to salon umeblowany zbytkownie, na ścianach obrazy, w oknach ciemne firanki, na stołach książki i albumy, po kątach miękkie kanapy, tuż przy łóżku chorego bukiet ze świeżych kwiatów... chory, to cień tylko człowieka! Na zapadłej twarzy, w gorączkowo płonących oczach wyraz, którego pióro oddać nie jest w stanie—szaleństwo, radość czy też ostatni odblask życia na widok tych, których zapewne pożegna niedługo na ziemi. Przycień padający od grubych, ciężkich makatów, służących za firanki i bladawe światło palących się świec stearynowych, przy których stoi pudełko z cygarami, czynią trudnem rozpoznanie rysów więźnia.

— Chory, może umierający!—woła siostra, chcąc rzucić się na szyję bratu.

— A pani dobrodziejko u nas rozczulać więźniów

zbytecznie najsurowiej zabrania się, mówi Żuczkowski, powstrzymując młodą kobietę. Chory biedaczek, brat pani, ale wkrótce wyzdrowieje, o wyzdrowieje niewątpliwie. On sam nawet pani powie, że tak jest! Wszak tak?—pyta Żuczkowski.

— Wszystko się skończy wkrótce — syczącym głosem odpowiada chory.

Siostra wybucha głośnym płaczem, ojciec nie może powstrzymać się od łez.

Więzień daje znak ręką.

Żuczkowski korzysta z tego zlekka popychając gości do drzwi.

— Widzicie, sam nie chce, żeby go mordować płaczem i łzami.

Ojciec i córka wychodzą chociaż z pewnym oporem.

Siostra pragnie przemówić jeszcze parę słów do brata.

— Nie wolno pani dobrodziejko, odpowiada słodko Żuczkowski. Jutro nie tylko państwo, ale cała Warszawa powita pana Józefa.

* * *

Wczesnym rankiem na stokach cytadeli poczęły gromadzić się wojska; piechota, dragoni i kozacy. Na wysokiem wzgórzu dominującym nad całym placem rysują się ramiona szubienicy! Tłumy ludu tłoczą się na placu, jak gdyby widowisko egzekucyi było zjawiskiem rzadkiem, niebywałem. Niestety publiczność poczyna lubować się widokiem, nabiera tej okropnej, zwierzęcej żądzy do krwawych scen; tłumy dziko mruczą, szept jakiś złowrogi przebiegu po zbitych gromadach. Spójrz na te twarze blade z przerażenia a wykrzywione tajoną wściekłością, w oczach ich nie ma łzy, lecz krwawe jakieś piętna podkreślają orbity, jeden przez drugiego ciśnie się, byle bliżej, byle bliżej. Jest to jakiś pociąg tygrysi, nieludzki, upajający zapachem krwi!

Z cytadeli na czarnym wózku, w otoczeniu księdza i żandarmów, wiozą jakąś marę, czy cień człowieka.

W około szubienicy widać zgraje w złotych i srebrnych szlifach, w szarfach i orderach, to sludzy sprawiedliwości carskiej, pod szubienicą stoją wstrętne postacie czarno ubranych pomocników kata — to wykonawcy woli wszechwładnego cara.

We fraku, w białej kamizelce, w białym krawacie, w białych rękawiczkach, uśmiechnięty, pachnący, promieniejący inkwizytor Bielski, skłoniwszy głową zebranym dygnitarzom na znak powitania, czyta...... wyrok. Rozległ się głuchy odgłos bębną — na szczycie czarnych ramion szubienicy, zawachał się...... biały worek!

Tłum padł na kolana, a z piersi wszystkich jak grom z nieba zabrzmiała pieśń: „Boże coś Polskę!"

Na śpiewające tłumy puszczono tłumy kozactwa, pieśń, pod nahajkami...... skonała!

Stanisław Miłkowski

Kartki dla nauki

Ks. Kneipp o cholerze.

(Z Kuryera Krakowskiego.)

Wobec grożącej już tak z bliska epidemii, uważamy za stósowne przytoczyć zdanie sławnego na cały świat ks. Kneippa o środkach przeciwko cholerze. Oto co pisze w swojej książce p. t. „Moje leczenie wodą."

„Jak bardzo lękają się cholery! Przed dwoma laty nawiedziła w okropny sposób kilka krajów i dostarczyła śmierci niezliczonych ofiar. Aby ochronić się przed wylewem robimy tamy, regulujemy rzeki. Podczas pożaru lasów kopie się rowy wstrzymujące pustoszący element. Taką tamą i rowem przeciwko cholerze, temu strasznemu nieprzyjacielowi ludzkości, jest woda. Ratuje ona z niebezpieczeństwa i chroni przed niem tamą i rowem tego, kto ją odpowiednie zastosowuje.

Główną zasadą w cholerze jest: kto spoci się prędko, ten został uratowanym; kto nie spoci się mocno, ten przepadł.

Wezwano mię raz o 11 w nocy do biednej sługi. Już 20 razy miała wymioty i 20 razy silne przeczyszczenie. Lekarz mieszkał o dwie mile drogi. Chora prosiła o zaopatrzenie na śmierć mówiąc, iż czuje to dobrze, że uledz musi strasznej chorobie. Ręce i nogi zimne, niby lodowa masa, oblicze blade, rysy twarzy zapadłe; znaki śmierci widoczne. Natychmiast starałem się śmiertelnie chorą wprowadzić w poty, bo od tego zdaniem mojem, zależało życie lub śmierć. Gospodyni domu szybko przyniosła 2 duże prześcieradła. Kazałem je zamoczyć w gorącej wodzie, złożyć w kilkoro, wykręcić i tym gorącym, grubym okładem okryć brzuch i piersi. Przedtem jednak na gołem ciele położono pojedyncze płótno zmaczane w gorącym occie. Mokry, gorący okład otulały na zewnątrz pierzyny, ciepłe i ciężkie o ile chora znieść mogła. Gorąco przenikliwe wciskało się do brzucha i w 15 minutach rozgrzało całe ciało. Po 20 minutach perliły się już krople potu na obliczu. Kazałem okład jeszcze raz zanurzyć w gorącej wodzie. W krótkim czasie ustały kurcze zupełnie, womity i pobudliwość do nich zniknęły. Aby i na wewnątrz wspomódz działające z zewnątrz ciepło, wypiła chora filiżankę mleka z koprem włoskim tak gorącą o ile znieść mogła. (Do filiżanki mleka daje się 1 łyżka pełna mielonego kopru i gotuje się 3 minuty). Chora wypociła się obficie i została uratowaną.

W przypadkach takich gdy pierwsze minęło niebezpieczeństwo, nie należy zaniedbać wyleczenia zupełnego. Jest ono ważnem a nie trudnem. Chory powinien brać codziennie okład dolny, raz przez 1 godzinę (to samo płótno na piersi i brzuch). Zawsze przykrywać się dobrze. Sługa czyniła tak i w 10 dniach została zupełnie uzdrowioną. Drugi przypadek leczyłem w podobny sposób z tym samym skutkiem.

Dwóch uwag na tem miejscu nie chciałbym opuścić.

Jeżeli się pojawią powyżej wymienione symptomaty choroby, jak: silne rozwolnienie, womity, kurcze itd. to nie należy ociągać, ale chorych takich natychmiast ułożyć w łóżku. Na wewnątrz daje się napój ciepły. Jeżeli grożą napady kurczowe, albo poczynają nogi stawać się zimnemi jak lód, natenczas trzeba dać zaraz okład gorący na brzuch niedłużej nad 3 kwadranse. Również długo trwa gorący okład dolny. Gdy kurcze wracaja okład górny i dolny powtórzyć należy. Rozgrzał się chory i spocił — sprawa wygrana.

Ostrożnym trzeba być w jedzeniu i piciu dopóki wszystko do porządku nie wróci. Z pokarmów, jakich używałeś zwykle, wybieraj co lżejsze. Za napój niech ci służy ciepłe mleko, które leczy i żywi.

Szaleje cholera w jakiej miejscowości, miej ufność w Bogu i bądź odważnym. Dla przezorności zmywaj silnie co rano i w wieczór piersi i brzuch; żuj codziennie 10—12 ziarnek jałowca, a gdy tych nie stanie, kup pieprzu. Dwa razy dziennie zgryź po 5 ziarnek; one ogrzewają żołądek, polepszają strawność i wyprowadzają gazy.



WIEŚCI ZE ŚWIATA

Rodak nasz osiadły w Kalifornii p. Modest Maryański podał projekt, aby na wystawie w Chicago Polacy przed całym światem zaskarżyli Rosyą, ten naród barbarzyński a rządy dzikie i despotyczne, które w taki szatański sposób gnębi naszych braci, prześladując bez litości wiarę naszą świętą i język ojczysty i wysyłając niewinnych braci naszych tysiącami na Sybir......

Ten głos skargi i wzywanie pomocy chce p. Maryański skierować najpierw do Ameryki, przedewszystkiem do Stanów Zjednoczonych, za których wolność Polacy niegdyś krew także przelewali, następnie pragnie wezwać pomocy innych narodów, których reprezentańci licznie zbiorą się na wystawie. Obrazy, rysunki, pisma przedstawią prześladowania, jakich się moskale na Polakach dopuszczają, i rosyjskie knuty, nahajki, kajdany, łańcuchy i t. p. przedmioty będą na wystawie. Odpowiednie odczyty w angielskim języku dadzą dokładny obraz prześladowań naszych braci.

Do Koelnische Volksztg. piszą z Warszawy:

„Cytadela w Warszawie jest chwilowo przepełniona politycznymi więźniami. Rosyjscy i austryaccy Polacy, także niemieccy poddani, jeczą w kazamatach. W ostatnich dniach uwięziono pewnego rosyjskiego żyda, który swego czasu miał mieć udział w katastrofie pod Borkami. W rządowych kołach panuje przeświadczenie, że straszne nieszczęście na torze kolei żelaznej kursko-azowskiej nietylko zgniłe szyny spowodowały. W tajemnicy odbywają się jeszcze dotychczas dalsze przesłuchy i aresztowania, chociaż bez pożądanego skutku. Zresztą szef warszawskiej policyi, jenerał Klejgels, węszy teraz wszędzie polskie knowania i tajne organizacye. Ponieważ przesłuchy znajdujących się w cytadeli więźniów nic szczególniej obciążającego nie wykazują, przeto używa się najhaniebniejszych środków, aby obwinionych do zeznań nakłonić. Budzą n.p. więźniów w nocy i nie pozwalają im spać, aby nadwerężyć ich nerwy i aby następnie módz łatwiej zniewolić do zeznań. Śledczy sędziowie wydali nowy nakaz, aby od 13 (1) czerwca nie posługiwano się przy przesłuchaniach mową polską, tylko wyłącznie rosyjską, nawet wtedy, chociaż obwiniony wcale lub niedostatecznie włada językiem rosyjskim. Urzędnicy prowadzą teraz protokóły wyłącznie w rosyjskim języku, podczas gdy dawniej do rosyjskich oryginałów dołączano polski przekład. Wielu więźniów musi też podpisywać rosyjskie protokóły, nie wiedząc,co właściwie podpisują. Gdy zaś niedawno temu dwóch sędziów w Warszawie zwróciło uwagę jenerałowi Klejgelsowi na ujemne strony tego nakazu, oświadczył ten wszechmocny potentat: W Rosyi niema ani jednego Polaka tylko rosyjscy poddani. Niema także polskiej mowy, polski bowiem język jest tylko słowiańskim dyalektem, względnie narzeczem rosyjskiem. Krewni odwiedzając uwięzionych, mogą teraz tylko po rosyjsku z nimi rozmawiać; a jeśli nie umieją lub mówić nie chcą, to wydalają ich natychmiast z więzienia. Także przeciw arystokracyi polskiej zaczyna rząd występować. Denuncyowanie kwitnie w Królestwie, jak jeszcze nigdy. Rosyjscy urzędnicy w Warszawie denuncyują częstokroć fałszywie swoich wierzycieli, aby ich wsadzić na kilka tygodni lub miesięcy do więzienia. Nikczemny denuncyant osiąga przez to swój cel, bo nie potrzebuje oddać długu".

Czytamy w Orędowniku: Przed kilku dniami przybyła do wsi H. pewna młoda dziewczyna z Hamburga. Zaledwie o przybyciu dziewczyny dowiedział się sołtys wsi, udał się zaraz do niej z pewnym robotnikiem, oświadczając dziewczynie, że stósownie do rozporządzenia rejencyjnego musi się poddać desinfekcyi. Dziewczyna na to się zgodzić nie chciała, ale płakała, prosiła i broniła się wszelkiemi siłami przed desinfekcyą. Sołtys jako „nieubłagany stróż prawa" kazał wtedy dziewczynę związać i następnie zaprowadzić ją do swego pomieszkania. W celu wydesinfekcyowania dziewczyny kazał przygotować kocioł gorącej wody i „desinfekcya" wodą gorącą byłaby się zapewne odbyła, gdyby był nie nadszedł na sam czas lekarz, który oświadczył, że dziewczyna jest zdrowa i nie potrzebuje takiej „desinfekcyi".

Chluba narodowi, który pamiątki ojczyste czci i szanuje! Oto donoszą nam z pod zaboru austryackiego, że Sejm lwowski uchwalił 6.000 złr. na restauracyą zamku w Żółkwi, własności niegdyś króla wiekopomnej sławy Jana III Sobieskiego.— Przypominamy przy tej sposobności, że Galicya nabyła przed kilku laty zamek w Olesku, w którym wielki b o h a t e r n a ś w i a t p r z y s z e d ł.

W stóleciu bieżącem wyszło na szczyt góry Montblanc 71 kobiet. Z tych była 28 angielek, 23 francuzek —reszta przypada na inne narodowości. (Montblanc najwyższa góra w Europie, w Alpach, leży w południowo-zachodniej Francyi. Dostęp na szczyt tej góry, 14.000 stóp nad poziom morza wzniesiony i wiecznym śniegiem i lodem pokryty, tak był trudny w pierwszych początkach bieżąceco wieku, że kiedy udało się Malczewskiemu, znakomitemu poecie naszemu wyjść nań, cały świat uczony wielce się tem zajmywał.)

M o g i l n o. W Suszewie tuż nad granicą Królestwa Polskiego chałupnik Matykiewicz, staruszek mający już 80 lat, poszedł d. 17 z. m. rychło spać ze swoją żoną, równie podeszłą w latach. W nocy przyhyło trzech zbójów, zbudzili starego Matykiewicza i zażądali pieniędzy. Gdy im nie dał, zabili go na łóżku. Żona jego widząc to, zawołała: „Studziński, toś ty morderca!„ Zbrodniarze widząc że ich kobiecina poznała, poszli do jej łóżka i zabili ją także. Żeby się morderstwo nie wydało, podpalili sienniki i odeszli.

Ludzie widząc ogień, zoczęli ratować starców, ale ogień chałupę ogarnął i obu starców znaleziono ze zwęglonemi nogami i rękami. Przyszła policya i spostrzegła, że prócz tego na ciele mieli starcy ciężkie rany. Komisarz z Gębic wpadł zaraz na myśl, że tu zaszło morderstwo i kazał Studzińskich aresztować. Zabrali u starców podobno 70 marek i za to pozbawili życia dwoje ludzi!

W Jabłonowie w W. X. P. w ogrodzie p. Pozka odbył się koncert muzyki wojskowej, po którym popisywał się t. z. „najsilniejszy człowiek na świecie“ p. Bieńkowski, pochodzący z Grudziądza. Popisy tego siłacza są istotnie zdumiewające. Posiada on kilka odznak honorowych (!) z różnych krajów. Jest to człowiek nadzwyczajnie rozwiniętej muskulatury i waży około 4 cetnarów. Podnosi on ciężary 15 cetnarowe. Powiadają, że z łatwością dźwiga konia wraz z jeźdcem. Niechby też przybył do Ameryki — tu podobne sztuki popłacają... a zrobi dobry business...

Z Opola donoszą do „Górnośl. Gazety Ludowej“ o zabawnym przypadku, jaki się wydarzył w jednej ze sąsiednich wsi parafialnych. Proboszcz tamtejszy znajdował się przez czas pewien w kuracyi u proboszcza Kneippa w Woerishofen. Wiadomo, że jednem z lekarstw, na jakie słynny ten mąż wielką uwagę kładzie, jest chodzenie boso. Wzmiankowany proboszcz i teraz stósował się do przepisów lekarskich i będąc w domu, dalej praktykował receptę „na bosaka.“ Zdarza się, że znajduje się za wsią boso, buty w ręku niosąc. Napotyka pewną kobiecinę, która na ten niezwykły widok zatrzymała się a wreszcie i płaczem wybuchła. Nie długo to trwało, a zebrało się naokoło plebana sporo parafian, którzy wszyscy płaczą i głową potrząsają, a proboszcza z óczu nie spuszczają. Obudzają te płacze zamyślonego wędrowca, ogląda się zdziwiony, wreszcie pyta: Co wam to, że tak płaczecie?„ — „Ach mój Boże, księże proboszczu, płaczemy, bo widzimy, że.... — wszyscy zanoszą się od płaczu.—Bo co?“—„Nic, proszę dobrodzieja, ale ...oj gwałtu rety“... toż to dobrodziej biedak, nawet butów nie ma na nogach... “Niemało trudu i wymowy kosztowało czcigodnego kapłana przekonać kochających go parafian, iż jedynie czyni to dla zdrowia, że również się czuje zdrowym, jak parafianie jego. Niejedni mimo to nie uwierzyli zupełnie, bo potrząsając głową rozeszli się, a inni szeptali do siebie: „Oj bieda, bieda wielka na świecie, kiedy już i dobrodzieje nasi chodzą boso.“

Straszliwy dramat rozegrał się przed kilkoma dniami w klatce niedźwiedziej w menażeryi Marsa. Działo się to w pewnem francuskiem miasteczku w czasie jarmarku. Gdy pani Mars, pogromicielka niedźwiedzi, w czasie przedstawienia do menażeryi wstąpiła, w której się dwa wielkie, nader ułaskawione niedźwiedzie znajdowały, podniosło się na jej widok jedno ze zwierząt i wielką swą łapą uderzyło panią Mars. Nieszczęśliwa kobieta padła niby podcięta, a niedźwiedź począł szarpać jej ciało. Z widłami nadbiegli ludzie na pomoc i przez żelazne sztaby kłuli niedźwiedzia, lecz ten nie puszczał swej ofiary. Wtedy wchodzi małżonek pani Mars do klatki z puginałem w ręku i pierś o pierś rozpoczyna z niedźwiedziem walkę o życie lub śmierć. Zwierzę rozjuszone pokłada go jednem uderzeniem łapy na ziemię i rani go niebezpiecznie. Tymczasem nadbiegł 14-letni synek państwa Mars, nader odważny chłopczyna. Nie wchodzi do środka, ale drapie się po prętach klatki do góry i godzi zwierzę pałaszem. Czyn udaje mu się nader pomyślnie. Silnie ugodził zwierzę w pierś, które ze straszliwym rykiem rozciąga się na ziemi. Tymczasem nadbiegła służba ze strzelbami, która rannego zwierza dobiła. Oboje rannych wyciągnięto z klatki w nader strasznym stanie. Pani Mars odniosła około 40 ran i wkrótce potem rozstała się ze światem. Pan Mars mało ma nadziei do życia.

Piękny przykład miłości bliźniego. W pewnej miejscowości w Niemczech cholera nawiedziła pewną ubogą rodzinę. Ojciec i matka leżeli ciężko chorzy w ciasnej izbie, gdzie mieściło się czworo małych dzieci, bez pomocy żadnej, bez opieki. Nauczyciel miejscowy, p. Ahrendt, widząc opłakany stan nieszczęśliwej rodziny, z całem poświęceniem się, pospieszył jej z pomocą. Dniem i nocą czuwał przy chorych, opiekował się dziećmi, mył je i ubierał. Matka rodziny po dwudniowych strasznych cierpieniach uległa chorobie, ojciec powrócił do zdrowia, a szlachetny ich dobroczyńca Ahrendt padł ofiarą swego poświęcenia. Opieka i starania dwóch zdolnych lekarzy, wezwanych do łoża chorego, nie zdołały go wydrzeć strasznej śmierci. Szlachetny swój sposób myślenia zachował do ostatniej chwili, prosząc lekarzy, żeby wszystkim wstępu do niego wzbroniono, by w ten sposób zabójcza choroba nie rozszerzała się dalej. Zacny ten człowiek pozostawił w nieutulonym żalu narzeczoną, z którą na krótko przed śmiercią był zaręczony.

Niemcy. Na cholerę umiera w Hamburgu jeszcze teraz dzień w dzień przeszło 120 ludzi. Dwa razy tak wielka liczba rozchoruje się codzień. I to jeszcze straszną jest klęską. W Berlinie i okolicy wydarza się co kilka dni jeden przypadek cholery, a choleryczni pochodzą prawie zawsze z Hamburga, albo też zarazili się od Hamburczyków.

W tych dniach przebiegała po gazetach niemieckich spora liczba cyfr, które tyczą się też Polaków, boć my porówno w tych cyfrach jesteśmy interesowani. Posłuchajmy:

Na ukaranie, a raczej na zubożenie Francyi, wycisnął na niej Bismark nie mniej jak 5 miliardów, która to cyfra tak okropnie wygląda: 5.000.000.000.

W głowie się miesza na ten widok. Bo 125 franków musiało zapłacić każde dziecko francuzkie w kolebce, aby każde dziecko niemieckie w kolebce dostało 100 marek.

I myślano, że dla Germanii (państwa niemieckiego) rozpocznie się teraz czas długiego pokoju, czas dostatku i szczęśliwości, na którą zasłużyli ci, których bracia w liczbie przeszło stu tysięcy pokryli kośćmi swemi pola francuskie. Tymczasem jakże szkaradnie fortuna (los) postąpiła sobie z Niemcami. Od czasu wojny francuskiej Niemcy nietylko że zjedli pięć miliardów franków, ale nadto wydali na cele wojskowe 11.597.000.000 franków, czyli blizko 15 miliardów marek, to jest blizko trzy razy tyle, ile od Francuzów byli dostali. Na sam rok przyszły mają wydać 726 milionów, blizko 15 marek na głowę.

Czy są więc długi? Naturalnie i wielkie. Już w roku 1874, to jest w cztery lata po wojnie, długów tych było 410 milionów, ale do dzisiejszego dnia długi te urosły do olbrzymiej cyfry 1684 milionów co uczyni 337 marek na głowę.

Niemcy już nic nie owijają w bawełnę i głośno stękają. Jedność niby to jest, ale utrzymanie jej kosztuje i prowadzi do żebraczej torby. Nie tają sobie tego Niemcy, że stan jest nieznośny.

Świecka władza Ojca św. znalazła dzielnego obrońcę w osobie ks. Jezuity Jana Ming'a. Uczony kapłan jasno i niezbicie dowodzi w dziełku swojem pod tytułem: „The Temporal Sovereignity of the Holy See“, że Papież posiada prawo do Państwa kościelnego oparte na historycznem powstaniu i rozwoju tegoż państwa. Następnie wykazuje wdzierstwo i rabunek Państwa kościelnego przez Wiktora Emanuela i jego bandy, wyjaśnia naukę Kościoła o świeckiej władzy Papieża i udowadnia, że stolica apostolska musi pozostać niezawisłą, co tylko wtedy być może, jeżeli Papież jest zwierzchniczym niezależnym władcą jakiego kraju.—W ostatnim rozdziale swojego dziełka, godnego czytania, wykazuje O. Ming, że pogodzenie się Papieża z bezbożnym dzisiejszym rządem włoskim jest rzeczą zupełnie niemożebną.

Irlandya. W hrabstwie Limerick zdarzyło się co następuje: Nocą wpadło do domu pewnego dzierżawcy 6 zamas-

kowanych ludzi i chcieli go zabić. Dzierżawca ze synem nie dali się jednak i choć rany odnieśli, lecz napastników wypędzić zdołali. Nie byli to zwykli mordercy, co dzierżawcę obrabować chcieli, ale raczej byli to Irlandczycy, którzy chcieli dzierżawcę ukarać za to, ponieważ przyjął dzierżawę po wygnanym z dzierżawy Irlandczyku. Dawniej zdarzały się takie napaści częściej, lecz teraz pewnie całkiem ustaną, gdyż nowi ministrowie angielscy chcą niebawem dobre prawa dla Irlandczyków wydać.

Włochy. Sąd rzymski skazał mordercę biskupa z Foligno, którego to podczas podróży w wagonie kolejowym zamordował, na dożywotnią karę więzienia. Ponieważ we Włoszech nie istnieje kara śmierci, jest powyższa kara najwyższą, jaką komu nadać można. — W Bolonii usiłowano zrobić zamach dynamitowy w gmachu urzędu telegraficznego. Naturalnie, że to nowy piekielny czyn anarchistów, którzy igrają z życiem ludzkiem, jak kot z myszką. Uwięziono 6 osób z ich bandy.

Petersburg. Przewodniczący Synodu prawosławnego Izydor umarł. — Ubył jeden z wrogów wiary i narodowości naszej.

Jak żmudną było pracą grać na organach w 10 wieku na nowo-wynalezionych organach, dowiadujemy się z notatki pewnego angielskiego kronikarza. Oto opisuje on organy o 26 miechach, przy których pracowało ze wszystkich sił 70 ludzi, a którzy przy swojej ciężkiej pracy „potem zalewali się“, jak nas zapewnia kronikarz, zakonnik Wolstan. Dwóch organistów również pracując ciężko i mozolnie grało na tym olbrzymie, który tak ryczał pięknie na chwałę Bożą, że pobożni słuchacze — którzy więcej znieść mogli prawdopodobnie niż dzisiejsze pokolenie —musieli sobie uszy zasłaniać.

Sześćset norwegskich rodzin osiedliło się w Lane County, stanie Oregon.

W pobliżu San Diego, Cal. złapano morskiego żółwia, który ważył 150 funtów.

W Nowym Yorku zjadają dziennie przeciętnie 300.000 ryb.

NOWINY MIEJSKIE.

Garbarzowi Romanowi Jankowskiemu, zamieszkałemu na 33 ul, w Springwells, skradziono z kufra w nocy z 6 na 7 z. m. 400 dolarów. Podejrzenie padło na Józefa Steczkowskiego, który razem mieszkał z Jankowskim. Konstablerowi, Henrykowi Schillerowi, udało się uprzedzić policyą w Europie, aby przytrzymała ptaszka, który już wypłynął w Nowym Yorku na odchodzącym okręcie do Bremy. Niegodziwiec ten przed odjazdem swoim wykradł papiery Ignacego Mańkowskiego, pod którego imieniem wybrał się do Europy.

Z KRAINY ŚMIECHU.

Sędzia do oskarżonego:— ,,Więc ukradłeś zegarek, zaprzeć się tego nie możesz, widziało pięciu świadków, kiedyś go wyciągał z kieszeni pana X.

Oskarżony:—,,Panie sędzio, ja zaraz postawię 50 świadków, którzy tego nie widzieli, a obaczymy po czyjej stronie prawda“......

Młody lekarz wychodzi do przedpokoju i pyta: ,,Któż tu najdłużej czeka?“ ,,Ja“, odpowiada krawiec, ,,przyniosłem panu ubranie już przed rokiem a jeszcze czekam na pieniądze“......

—,,Matusiu, co to tam za jagody rosną?“

—,,To, moje dziecko, są ,,czarne“ jagody.“

—,,A dlaczego one takie ,,czerwone“?“ pyta córeczka.

—,,A, bo są jeszcze ,,zielone“.

U wójta.

—Coście Wojciechu tak spuchli?

—A to proszę was, panie wójcie, Walenty stróż z przeciwka, tak mnie dojechał w meldunek.

— Jakto w meldunek?

—Ano, jużci przecie tak, bóć się nie nogą melduje jeno gębą.

Przy łóżku chorego.

Chory. Ratuj, ratuj doktorze! Ach! żebym mógł choć póty żyć, póki moich długów nie popłacę....

Doktór. E! to ja widzę, że ty byś chciał żyć wiecznie.

W oberży.

—Ile piwa panu codzień wychodzi?

— Koło trzech beczek.

—Jabym wiedział taki środek, żeby pan mógł więcej sprzedawać.

—A to jak?

—Gdybyś pan każdy kufel, jak się należy, aż do wierzchu napełnił.

Nikt takiej niewdzięczności nie doświadcza jak piec; on ogrzewa ludzi, a oni się tyłem do niego obracają.

Żyd nie chce mieć nikogo na kwaterze, ale na kwaterkę radby każdego zaprosić.

W jaki sposób można najdłużej zachować świeżość mięsa wołowego?

Zostawiając wołu przy życiu.

Cobyś zrobił gdyby podczas przejażdżki konnej koń twój nogę złamał?

Poszedłbym piechotą do domu.

Od Seminaryum.

Kto czytał artykuł zatytułowany ,,Zkąd wiatry wieją?“ umieszczony w pewnem piśmie tygodniowem, musi przyznać, że chociaż cały artykuł jest tylko nadmuchany wiatrem—mimo to obliczono go na drażnienie i rozbudzanie namiętności ludu. Zaczepiono tam wprost Seminaryum, mimo to, jako rektor tego Zakładu, odpowiedzi nie umieszczam, bo ubliżyłbym sobie bardzo wdając się w polemikę z pismem i osobą, co takie artykuły pisze i ogłaszać je jest zdolną. Zdaniem mojem, najodpowiedniejszem będzie pominąć ich milczeniem, a o wartości artykułu i jego nizkich dążnościach—tak tu jak i w Europie—każdy czytelnik sam sobie najdokładniejszy sąd sformuje. Kto wiatry tak studyuje i sieje, wcześniej czy później będzie zbierał burzę.

Ks. J. Dąbrowski,
Rektor Seminaryum Polskiego.

Polskie kalligraficzne wzory.

Dowiadujemy się, że w Buffalo, N. Y., staraniem znanego tam dobrze polaka, p. A. F. Górskiego wydane zostaną w tym miesiącu wzory polskie do kalligrafii dla polskiej szkolnej dziatwy. Brak wzorów takich tu oddawna uczuwać się nam dawał, i radzi jesteśmy że p. Górski przedsięwziął to szczęśliwe dzieło, o którem nikt nie pomyślał dotąd. O potrzebie i stronie praktycznej kalligraficznych wzorów polskich napiszemy obszerniej w przyszłości, dziś zaś w „Niedzieli" polecić je tylko możemy Sz. Sz. Wychowawcom polskiej dziatwy szkolnej i wskazać adres Wydawcy, jak niżej:

A. F. Górski,
127 Townsend str., Buffalo, N. Y.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

4 eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. 5 pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.50—10.45. Po południu o g. 1.35; 5.15; 11.00 łącza się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicago rano o g. 8.50 w południe o g. 1.25 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Grand Rapids do Charlevoix, i Petoskey o 7.30 rano, do Manistee i Traverse City przybywa o 7. 30 rano i 5. 35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.20 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

Wm. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.

GEO.I DeHAVEN, Gen. Pass'r. Agent w Grand Rapids.

DESKI

Tanie miejsce w Detroit do kupienia Łatek, Desek i różnego rodzaju Drzwi, Okna, Okiennic i t. p. jest u

G. W. Larkins & Co.

643 do 647 Gratiot Ave. **Blisko Dubois ulicy.**

Zgłoś się do nas, pierwej nim gdzieindziej pójdziesz.

F. RAMM.

Sprowadza i ma na składzie instrumenta muzyczne, nuty etc

Skrzypce, Akordeony, Gitary etc. po bardzo tanich cenach.

Towary norymbergskie, Albumy etc. we wielkim wyborze.

182 Gratiot Ave. Detroit, Mich.

FR. X. PETZ,

Skład ZEGARÓW-ZEGARKÓW I JUBILERSKICH przedmiotów. **Pierścionki ślubne** tanio i we wielkim wyborze. Wszelkie reperacye wykonuje tanio i prędko.

466 **GRATIOT AVE.** **DETROIT.**

STRAITH I McDONALD

Windsor — Ontario — Kanada.

Doskonałe importowane towary o połowę taniej niż gdzieindziej.

Piękne męzkie ubrania zrobione na obstalunek

od $15.00 do $30.00.

Spodnie z importowanych materyałów od **$3.50 do $7.50.**

Dla Pań bardzo dobry importowany Kaszmir

po 50c. 62½ i 75c. **yard.**

Materyały całkowicie wełniane, 27 cali szerokie tylko 12½c. **yard.**

TOWARY ŁOKCIOWE — MILLINERY — DYWANY — UBRANIA.

STRAITH i McDONALD,
33 Opera Block, **Windsor.**

M. F. HOPE

Dobra pszenica, mąka, wszelkiego rodzaju pasza.

Korna, owies i siano.

869 871 ST. AUBIN AVE. & 1377 MICHIGAN AVE.

LEONARD ZŁOTOWSKI

SKŁAD OBUWIA Damskiego i męzkiego

Każdy towar gwarantowany, — Usługa skora i rzetelna. — Rodacy popierajcie polski przemysł.

742 Russell st. Detroit, Mich.

A. POSSELIUS& CO.

414 — 418 Gratiot Ave.

Ma na składzie

MEBLE, DYWANY,

Sprzęty do bufetów, Półki, Lodownie.

POLSKI KRAWIEC

JAN J. POTICHKE.

utrzymuje wielki skład sukna

NAJNOWSZEJ MODY.

Wykonywa ubrania dla księży i kleryków.

Zajmuje się wogóle wszelką inną pracą a wszystko po najtańszych cenach. Przyjdźcie a przekonacie się.

652 Michigan Ave. - - - - - - Detroit, Mich.

CHAS. C. BREWE

następca po LUTGE

poleca swój

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

jako jeden z najlepszych w mieście Detroit.

Za dobrą robotę ręczy. 53 Monroe Ave.

F. C. TROWBRIDGE,

483 GARFIELD AVE.

DRZEWO BUDULCOWE

LETLE — GONTY

SŁUPKI — SZTACHETY



DRZEWO OPAŁOWE

— I —

WĘGLE.

DRZWI — OKIENNICE

GRZEMZY, DRZAZGI, ETC.

FRIEDERICHS I STAFFIN

FABRYKA I SKŁAD

OKIEN KOLOROWYCH

MALOWANIA PROSTE I ARTYSTYCZNE NA SZKLE

dla kościołów, mieszkań prywatnych, statków parowoch wagonów kolejowych.

107 109 Gratiot Ave. DETROIT, MICH

Windsor, Ont. Fabryka przy ulicy Sandwich W. P. O. Box 214.

W. CHILINSKI

KRAWIEC

Skład ubiorów męzkich i dziecinnych; wszelkiej bielizny, kapeluszy itd. po najtańszych cenach.

Jako doświadczony krawiec uskuteczna wszelkie roboty trwało i gustownie. Przyjmuje obstalunki i z innych miejsc na listowne żądanie i za przesłaniem miary.

$500.00 temu—kto gdzieindziej taniej ubranie w tym samym gatunku dostanie.

812 St. Aubin Ave. — — — Detroit, Mich.

HURRAH!! HURRAH!!

Jeżeli chcecie mieć meble ręcznej roboty to idźcie do

HERMANA BOCK

Szafy od 6 do 15 dol

Biurka z lustrami od **7.50** do **20 dol.**

ŁÓŻKA, SOFY i inne przedmioty do umeblowania służące, po cenach najniższych.

716 Gratiot Ave. i 199 Leland Str. DETROIT, MICH.